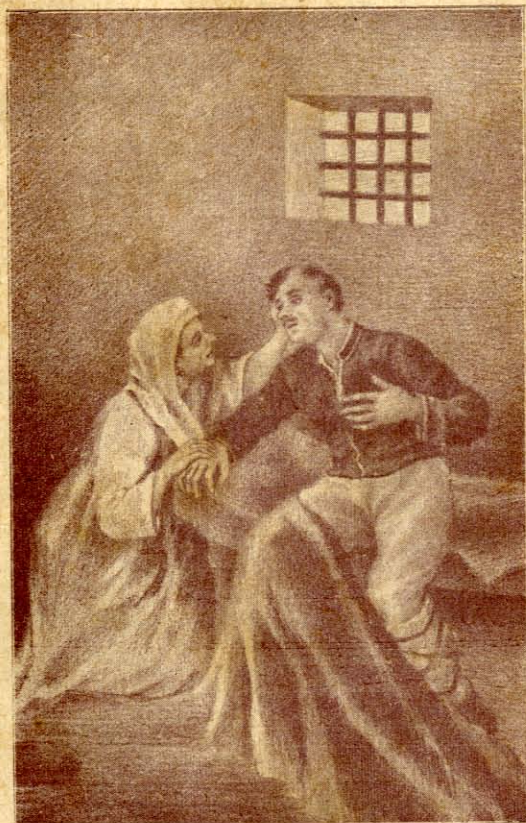


MAŁY KSIĄŻE

(CIEKAWY PACHOLE)

Opowiadanie albańskie z XV wieku



WARSZAWA 1913.

Nakładem „Księgarni Popularnej“.

T. T. JEŻ.

MAŁY KSIĄŻE.

(CIEKAWÉ PACHOLE).

Opowiadanie albańskie z XV wieku.

Przełożyła

J. B.



WARSZAWA.—„KSIĘGARNIA POPULARNA“.
KRAKÓW. — — — S. A. KRZYŻANOWSKI.

1913.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. J. Giedroycia w Białymstoku



F UW0537546

Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 49.

K-22/49/98530

Historja Albanji sięga bardzo dawnych, bo aż przedhistorycznych, czasów. Dzieje o niepodległości jej niewiele do powiedzenia mają; ale też nie znają jej w niewoli. Krajinę tę nad morzem wydłużoną, górami i lasami okrytą, a wąwozami i przepaściami poprzerywaną, zamieszkuje naród, co w ciągu bytowania swojego raz do jednego, to znów do innego państwa należał, w żadne się jednak nie wcielił, nasiąknął tylko pierwiastkami greckimi, rzymskimi i słowiańskimi, pozostał jednak sobą, trzymając się swoich gniazd górskich, mających wiele podobieństwa do gniazd ptasich.

Naród ten dzielił się na fary, czyli oddzielne państewka, mające na czele wodzów obieralnych lub książąt dziedzicznych, którzy w wspólnej obronie łączyli się, w czasie jednak pokoju nazewnątrz, prowadzili ze sobą zacie-

te nieraz walki. Z książąt tych na południu, największą siłę zdobyli Arriamici, na północy Kastrioci.

Szczególniejszą jednak powagą u swoich i obcych cieszył się Jan Kastriota. Był to człek widny, barczysty silny; oblicze miał marsowate i wyraziste; nosił się wspaniale— nakazywał poszanowanie. Gdy wieku sędziwego doszedł, sam na czele hufców nie stawał, ale dawał rady, wskazówki i rozkazy, po które książęta z całej Albanji zjeżdżali do Kroi, stolicy jego, i w dworcu jego gościny znajdowali.

Za czasów Mahometa I, Albanja coraz bardziej poczęła tracić niezależność swoją. Albańczycy naciśnieni, ponosili porażkę po porażce, książęta jeden za drugim ustępowali, niektórzy z nich nawet religję muzułmańską przyjmowali. Pozostawała tedy droga układów. Potęga turecka praktykowała „siłę nad prawem“, niekiedy jednak udawała wspaniałomyślną, jak np. w stosunku do Serbji, w której despota władał spokojnie, płacąc jeno haracz umiarkowany, dostarczając armji tureckiej tysiąc wojowników i dając zakładników. Albańczycy mieli och-

tę na coś podobnego, trzeba tylko zawrzeć umowę i ubezpieczyć ją rękojmią dostateczną.

Kiedy rzeczy na tym punkcie stały, oczy wszystkich zwróciły się na Jana Kastriotę.

— Niech się z turkiem umawia... on...

Jan Kastriota miał wtedy lat sześćdziesiąt z okładem i obarczony był liczną rodziną, składającą się z pięciu córek i czterech synów.

W tym czasie Mahomet I zmarł, a na tron padyszacha wstąpił syn jego Amurat II. Czekano na młodego padyszacha wystąpienie, ale on pod pozorem żałoby zwłóczył i zwłóczył. Albanja się niecierpliwiła i wreszcie zaczęła go sama. Niestety wojska jej były na głowę pobite i w górach schronienia szukać musiały, czekając z obawą tureckiej zemsty. Turcy jednak, przepędziwszy Albańczyków, do Ochrydy się cofnęli; jeńców wojennych wypuścili z przykazem, że chcą się o pokój układać.

Znowu się zagadano o Kastrjocie i do Kroi zjechali naczelnicy wszystkich farów, każdy z większym lub mniejszym orszakiem.

Nie zrobiło to jednak gospodarstwu różnicy. W domu nie zbrakło na jadle i napoju; gościom podawano barany całe pieczone, dziki, sarny i przysmaki różne; wino przed nimi stągwiami, aby jedli, pili, weselili się i radzili.

Radzili więc goście, radzili po trzeźwemu i po pijanemu, a z rady wypadło zawsze jedno i to samo:

— Niech się Jan Kastriota z Turkiem układa...

— Układaj się... — odezwał się Mikołaj Hamza najstarszy zięć Kastrioty.

— Prosi się... — odparł Jan z przekąsem. — Zwycięzca się nie prosi... to nie prośba, ale nakaz.

Stropiło to nieco radzących. Po chwili jednak odezwali się znowu.

— Wszystko nam jedno, czy to prośba, czy nakaz, dość, że jest to sposobność rozpoczęcia układów i należy nam z niej skorzystać.

— Hm... należy... — potwierdził. — Ale... jak?...

— Jak?... — powtórzyli inni, spoglądając mu w oczy z wyrazem oczekiwania.

— Pamiętajcie, że w Ochrydzie stoi z wojskiem Ibrachim pasza.

Ibrahim pasza i Bajazet pasza byli to dwaj najzaufańsi nieboszczyka sułtana pomocnicy. Amurat II zostawił ich na stanowiskach, zajmowanych za życia ojca.

— Ibrahim pasza... powtórzyli księżęta z akcentem zdradzającym utratę otuchy.

— Ale, — zaczął Kastriota, — i do niego trafićby można przez posłów... Posłów ani wieszają, ani ścinają... Czyby przeto kto z was, rycerze, poselstwa się podjąć nie zechciał?...

Zrazu zapanowało milczenie głucho, po którym podniosła się wrzawa rozgłośna.

— Pójdę ja!... i ja!... i ja... — wołali jedni przez drugich.

— Wszyscy iść nie mogą, — rzekł Kastriota. Posłów może być najwyżej trzech.

— Dobrze, niech będzie trzech, — odrzekło zgromadzenie.

— Ale którzy?

— Wybierz sam. Zgodzimy się na twój wybór.

— Więc gdybym wybrał trzech i po-

wiedział im: „Idźcie!“ ci trzej posłuchaliby mnie?

— Posłuchaliby... — odpowiedziano pomrukiem.

— To dobrze i źle zarazem,—rzekł starzec. Dobrze, że szanujecie włos siwy, źle zaś dla mnie samego wypada. Czy ich Ibrahim pasza zdrowo i cało z dobrym słowem od siebie puści, czy ich na pal wbić każe, dla mnie zawsze źle wypadnie. W pierwszym wypadku powiecie, że wysłał tych, których moje serce wyróżniło, w drugim, że wyprawiłem tych, których się pozbyć chciałem. Nie będę nikogo wybierał dlatego jeszcze, iżbym wybrać nie potrafił pomiędzy wami, szlachetni książęta, wodzowie i rycerze, nie masz bowiem żadnego, o którymby powiedzieć można: tego wybrać należy... Wszyscyście jednakowo waleczni, rozumni i zasłużeni. Nie liczę ja zdobiących podwórza, wazych czaszek, ten bowiem, co ściał głów nieprzyjacielskich tyle, co sąsiad jego, nie ściał ich dlatego tylko, że mu się wrogów pod rękę nie nawinęło wielu, albo też, że od niego taki postrach szedł, iż wrogowie na sam jego widok uciekali.

Niema więc pomiędzy wami lepszych i gorszych i nie ja będę między wami wybierał...

— Nie ty?... któż?...

— Wybierzcie... Bóg...—rzekł starzec tonem uroczystym.

Na to nic do odpowiedzi nie było. Zapowiedź interwencji Bożej usuwała zgóry wszelkie możliwe wnioski. Jan Kastriota zamyslił się znowu i długo w myślach pograżony siedział, wreszcie rzekł:

— Chciałem rozporządzić się sam; ale... nie... Gdy się Boga wzywa, wezwać należy sługę Bożego i zażądać od niego modlitwy i błogosławieństwa... Czy nie?...—zapytał.

— Gyegyem... odpowiedziano chórem.

Odpowiedź ta oznaczała zrozumienie i uznanie.

— Więc dobrze,—rzekł starzec. W dłonie klasnął i służebnikowi, który się pojawił dał rozkaz następujący:

— Pójdiesz corychlej do ojca Pawła, pokłoń mu się odemnie i powiedz, że go na naradę proszę.

Po chwili do komnaty biesiadnej wkroczył mąż wzrostu wyniosłego, okryty habitem

burym, przepasany sznurem konopnym, szedł stopami bosymi. Na głowie nie miał okrycia innego jak włosy, które wieńcem łysą mu czaszkę otaczały. Oblicze osłaniała mu długa, do pasa spadająca broda, która w połączeniu z krzaczastymi brwiami nadawała twarzy jego surowy, nieledwie dziki wyraz. Czoło miał porysowane w bruzdy, oczy bystre i nos ostry, garbaty, nadający twarzy jego akcent wyrazisty. U pasa wisiał mu różaniec, zakończony krzyżem drewnianym.

Tak wyglądał ojciec Paweł — zakonnik.

Wszyscy przed nim pochylili głowy a książę zwrócił się do niego i rzekł:

— Usiądź obok mnie, wielebny ojciec i poradź nam gwoli chwały Bożej i pożytku ludzkiego...

— Bez chwały Bożej pożytku dla ludzi niema, — odrzekł ojciec Paweł. O cóż chodzi?...

Jan Kastriota powiedział mu o przedmiocie narady i zakończył:

— Chodzi nam o to, ażeby to wielkie wojsko, co na granicy stoi, do krainy naszej nie weszło, grodów nam nie podpaliło, domów Bożych nie zburzyło i na miejscu krzyża buńczuka, z półksiężycem nie zatknęło...

Wyrazy te zyskały powszechne uznanie.

— Walka z Turczyńcem nas zmoęła... — odezwał się ktoś ze starszych.

— Nie mówcie tak! — zawołał zakonnik. Tylko ludzi małego serca walka za wiarę zmóć może... Kto za wiarę ginie, ten wprost do nieba wchodzi i na prawicy Bożej zasiada. — Ale, — dodał po chwili, — nie idzie za tem, aby rycerze boży wypoczywać nie mieli... Niech jeno wypoczynek posłuży do pomnożenia wiary i wyostrenia oręęa. W takiej intencji Boga o wybór posłów prosić można...

Do księcia się zwrócił, słów kilka półgłosem powiedział i wyszedł.

— Książęta, wodzowie i rycerze dostojni, — odezwał się wtedy Jan Kastriota, — ojciec Paweł nabożeństwo uroczyste odprawi na uproszenie łaski Bożej. Wszyscy my nabożeństwu temu asystować winniemy... Wystąpmy więc, jak należy... Głos dzwonów do świątyni nas powoła...

Na te słowa ruszyli się wszyscy od stołów i bez zwłoki do oczyszczenia odzieży i oręęa się zabrali.

Książę wstał również, rozprostował krzy-

że i do obocznej komnaty wyszedł, aby godnie w domu Bożym wystąpić.

W półgodziny później, od dworu doleciał głos dzwonka. Na odgłos ten jeden z rycerzy krzyknął:

— A to już nam do kościoła pora!...

Wszyscy się wnet ruszyli i na podwórzec wysypali, miecze do boku przypasali, przez ramię łuki i sahadaki ze strzałami przerzucili, do rąk dzidy lub buławy pobrali i ku bramie ruszyli. Tutaj zatrzymali się jeszcze policzyli się i ruszyli.

Książąt, wodzów i rycerzy do kościoła weszło czterdziestu czterech i w półkole się przed wielkim ołtarzem uszykowali, przy którym ojciec Paweł w ornacie złocistym nabożeństwo odprawiał.

Jan Kastriota zajął miejsce z boku, mając obok siebie czterech synów swoich, dwóch z jednej strony i dwóch z drugiej. Chłopcy we względzie wzrostu przedstawiali stopniowanie: najstarszy, czternastoletni ojcu do ramienia sięgał, drugi niżej, trzeci jeszcze niżej, czwarty zaś najmłodszy nie wiele się od przedostatniego wzrostem różnił, wyróżniał się atoli wśród braci wyglądem. Starsi byli

to chłopcy zwyczajni, od niego bił jakiś wyraz niepospolitości. Dziecko miało pozór młodeńca; roztropność i zuchwalstwo w oczach jego świeciły, nie ujmując jednak nic z właściwego jego wiekowi dziecięcego wdzięku. Przezywano go sokolęciem, zwano Jerzym.

Rycerze kornie pochyleni śledzili bacznie ruchy zakonnika, oczekując co chwila jakiegoś cudu, w którymby się wola Boża objawiła. Czy się Duch Święty ukaże, czy też słyszeć się da? — myśleli i czekali. Tymczasem ojciec Paweł skończył nabożeństwo, przeżegnał zebranych krzyżem, zszedł na stopień ołtarza i przemówił:

— Dostojni rycerze! Modliłem się o natchnienie gorąco, prosiłem Boga o pomoc dla was i dla siebie i oto Bóg wybrał mnie, sługę niegodnego, aby przez usta moje objawić wam wolę swoją świętą... Wyjdźcie przed kościół, a ja wam oznajmię, pod jaką postacią wola Boża objawiła się mnie.

Rycerze wyszli z kościoła i przed drzwiami szyk sformowali, mąż stanął obok męża, wyglądając ukazania się zakonnika. Stary książę z synami, tak samo jak w kościele z boku miejsce zajął. Wnet we drzwiach

ukazał się zakonnik; za nim dwaj chłopcy, co mu usługiwali przy ołtarzu, nieśli obrus, trzymając takowy za końce. Chłopcy z obrusem naciągniętym przed rycerzami stanęli, ojciec zaś Paweł w te się odezwał słowa:

— Kto z was, panowie dostojni, ufa sobie, że wobec turczyzna nie dozna strachu, niech z sahadaka swego strzałę wyjmie i na obrusie złoży...

Rycerze spojrzeli po sobie, ale nikt się nie ruszył.

— Cóż, nikt z was, rycerze dostojni, sobie nie ufa?...

— Ależ nie... — odparł gruby Span, — któżby sobie nie ufał?...

— Czemuż strzały nie składasz?..

— Jeżeli o to idzie... — odrzekł, do sahadaka sięgnął, ręką strzały zagarnął i pięć czy sześć wyjął.

— Nie tyle... jedną tylko... rzekł zakonnik.

— Jedną?.. Niech będzie jedna... Jam tylko chciał pokazać, że ufam sobie.

Strzałę złożył, odsapnął i cofnął się. Za przykładem Spana poszli inni. Wszyscy jeden po drugim po strzale złożyli i, jak ich

było czterdziestu czterech, tak czterdzieści cztery strzały na środku obrusa sformowały stos, złożony z pręcików gładkich, mających na jednym końcu grot ostry, na drugim ogonek pierzasty.

— Wszyscy?—zapytał ojciec Paweł, gdy już nikt do stosu nie dokładał.

— Wszyscy...—odpowiedziano z tłumu?...

— Czy każdy strzałę swoją pozna?...

— Naturalnie!...—odpowiedziano tonem, usuwającym wszelką wątpliwość.

Zakonnik jął wtedy strzały mięsząć. Pomieszał je, w pęk złożył i obrusem owinął w ten sposób, że jeno grotu widać było.

— No, — odezwał się ojciec Paweł, — wedle grotów nikt własnej nie pozna strzały... Dla większej atoli pewności, potrzeba dziecka nieświadomego i bezgrzesznego.

Na te słowa oczy obecnych zwrócili się ku chłopcom Kastrioty, Pomiedzy nimi był jeden, któremu się miano dziecka w zupełności należało. Ojciec Paweł go wywołał.

— Sam tu, — rzekł. Jerzy... zbliż się... bądź narzędziem, przez które objawi się wola Boża...

Chłopak się na ojca obejrzał i ujrawszy

w oczach jego zachęte, kilka kroków ku zakonnikowi podszedł.

Ten na chłopaka spojrział, pęk strzał ku niemu grotami zwrócił, kilka słów po cichu z wzniesionym do góry wzrokiem przemówił; potem rzekł:

— Niech się spełni... Wyciągnij, Jerzy, jedną z pęka tego strzałę...

Chłopak się zawahał.

— Ciągnij, którą chcesz, z wierzchu, ze spodu, z boku, ze środka, nie wybierając...

Mały Jerzy rękę pomknął, jedną ze strzał palcami ujął i ku sobie pociągnął.

— Ciągnij drugą...—rzekł zakonnik.

Chłopak drugą tak samo wyjął.

— Jeszcze jedną...

Trzecia w ten sam sposób z pęka wydobytą została.

— Owo... rzecz skończona... wybór dokonany... — odezwał się ojciec Paweł, trzy strzały przez chłopca wyjęte w garść ujmując i do góry podnosząc.

Ci, z czyich kołczanów te strzały wyszły, są strzałami, które sam Bóg na cieciwie położył i na turczyzna puścił... Niech o tem pamiętają!... — powtórzył z naciskiem

podając najbliższemu stojącemu rycerzowi, dodał:
— „Rozpoznawajcie!“

Rzekłszy to, na miejscu zawrócił i za drzwiami kościołka zniknął.

Rycerz, któremu strzały do ręki się dostały, obejrzał je i oddał drugiemu; ten drugi obejrzał i oddał trzeciemu. Strzały przechodziły z rąk do rąk, aż piątą jedną z nich wziął i powiedział: „To moja“...

Tym, co wyrazy te wyrzekł był otyły Span.

— Aaa!... — przeciągłe z akcentem zdziwienia słyszeć się dało.

— Ha!... Bóg wybrał... — ktoś się odezwał.

Następną strzałę uznał za swoją chudy i drobny Topi. Trzecia okazała się własnością zięcia Kastrioty, Mikołaja Hamzy.

— Nie mogło wypaść lepiej, — mówili rycerze. — Gdyby bowiem był pojechał sam Span, albo sam Topi, cóżby Ibrahim pasza o Albanji pomyślał! Tak zaś będzie wiedział, że w naszym kraju i utuczyć się i schudnąć można, a z Hamzą się rozmówić; ten przekona, że nas w spokoju zostawić należy...

Synowie Kastrioty żywy udział wzięli

w tem, co widzieli i słyszeli. Najżywiej atoli odbijało się to na najmłodszym, który obok ojca idąc i słuchając zapytał, jakie bracia starsi zadawali, odezwał się nagle:

— Och! ojcze, czemu ja strzałą nie jestem!...

— Strzałą nie jesteś,— odrzekł książę,— Bóg ciebie bowiem człowiekiem stworzył...

— Czyż ojciec Paweł nie powiedział, że można być człowiekiem — strzałą?..

— Powiedział tak na to, aby posłom drogę wskazać...

— Do Turczyna?.. — zapytał chłopak.

— Do Turczyna...

— Otóż to... do Turczyna... oh!—westchnął chłopczyna.

— Chciałoby się tobie do niego?.. — zapytał ojciec.

— Ano...

— Po co?

— Ażeby go przebić, jak strzała...

Ojciec nie odrzekł na to; spojrzął na syna najmłodszego z ukosa i, kiedy bramę minęli, rozkazał chłopcom, aby do matki szli.

— Kury na noc siadają, — rzekł,— i na was pora już.

— Jeszcze nie... — zaprotestował Jerzy tonem prośby.

— Pora. już pora...

— Takbym chciał...

— Czego?...

— Pomiedzy rycerzami posiedzieć i posłuchać...

— Jak wyrośniesz, będziesz siedział i słu-chał, teraz byś się nie dosłuchał niczego.

Stary Kastriola przemawiał łagodnie, ale łagodność jego nie oznaczała słabości. Chłopcy wiedzieli o tem i Jerzy, dostawszy odpowiedź taką, nie naprzykrzał się ojcu więcej, spuścił głowę i za braćmi na stronę niewieścią się udał.

Matka, siostry i wszystkie niewiasty, co się kądziałą tutaj zabawiały, otoczyły ich w koło, dopytując co się tam pomiędzy rycerzami działo.

— Ano... tak... Jerzy wyciągnął trzy strzały: jedną Spana, drugą Topiego, a trzecią małżonka twego... rzekł najstarszy, na siostrę zameżną oczami wskazując.

— I oni trzej?... — zapytała młoda kobieta z akcentem trwogi.

Będą strzałami, które Bóg na turczyna

puści,—pochwycił Jerzy, o kolana matki się opierając.

— To znaczy, że na wojnę pójdą?

Nie, — odparł najstarszy,—oni bez wojny pójdą...

— Ale ze strzałami, — dodał Jerzy.

Kobiety nic nie rozumiały, ale ze słów chłopców nic również wymiarkować nie mogły i Wojsława Kastriolowa oznajmiła wszem wobec, że spać już pora.

— Oh! matko...—zawołał nagle Jerzy,—matko...

— No?... — zapytała.

— Do Turczyna chcę...

— Co tobie!.. — wykrzyknęła głosem, w którym akcent przestraszenia zabrzmiał. — Czy nie wiesz, co to Turczyn?...

— Wiem...

— Wróg krzyża świętego...

— Wiem...

— Ciemiezca!.. udręczyciel!.. morderca!.. dzieciobójca!.. zgubiłby ciebie!..

— O matko!... jabym się zgubić nie dał...

— Na swoją wiarę ohydną by cię nawrócił!...

— O!.. nie... — odrzekł matce.

— Toby cię zabił...

— Zabiłbym jego ja...

— Cóż ty wygadujesz!.. odparła Wojsława tonem upomnienia.

— Strzałą bym się w niego wbił i on by mnie wyrwać nie mógł, ażby zginął, jak ten jelen, którego w zeszłym tygodniu na łowach podstrzelił... Uproś, matko, ojca...

— O co?

— Niech mnie na turczyna puści...

— Ot... spać idź lepiej... Przed pójściem do pościeli przeżegnaj się, uklęknij i pobożnie pacierz zmów...

— Ale ty ojca proś...

— Niewiedzieć co ci do głowy strzeliło... Idź lepiej już... prześpisz się i ochota ci odejdzie... Równo ze słońca zachodem w domostwie całym zaległa cisza, która przetrwała aż do rana. Dzień świtający zastał na nogach domowników wszystkich. W domostwie zapanował ruch żywy w zakątku każdym, szczególnie zaś po stajniach, gdzie pacholko wie czyścili i opatrywali konie i rynsztunki. Słońce się z poza gór wychyliło i oświetliło szczyty, spadki, doliny, parowy, miasteczko i gromadę rycerstwa, które wyspane

umyte i przyodziane zasiadło w ogrodzie pod lipą, czekając na księcia.

A książę spóźnił się z przyczyny Jerzego.

Chłopiec równo ze świtem zerwał się z pościeli i do matki się z prośbą o wyprawienie go razem z posłami zwrócił.

— Mam prawo, — powiała, — jechać z posłami... Mam prawo...

— Skąd... jakie?..

— Mam prawo, — upierał się, — idź, matko do ojca.

— Idź ty sam...

— Pójdę z tobą.., ale ty prosz za mną.

— Kiedyż ja do Turczyna ciebie ślać nie chcę..

— Zechciej, o! zechciej... błagającym przemawiał tonem, a poznawszy że matki nie ubłaga, w płacz głośny uderzył.

Płacz ów usłyszał książę, który się odziewać kończył i zamiast do ogrodu do komnaty niewieściej wszedł.

— Co to znaczy? — zapytał.

Wojśława ramionami ruszyła.

— Co mu jest?.. Czemu po zarankach dom płaczem napełnia?

— Do Turczyna się napiera... — odpowiedziała księżna.

— Do Turczyna? Tyś tam po co? — do syna się zwrócił z zapytaniem.

— Ja strzały wyciągał... — odrzekł chłopak.

— Cóż z tego?

— Przemennie się wypowiedziała wola Boża...

— Przez ciebie, ale nie dla ciebie... — tłumaczył książę.

— Mam prawo..

— Hm... pokręcił książę głową.—Gdyby wtem co było, ojciec Paweł by powiedział..

— Powiedział mi to sam Pan Bóg...

— Kiedy? — zapytał książę niezbyt pewnym tonem.

Księżnej oczy szeroko się otworzyły.

— Dzisiejszej nocy... we śnie... spałem i widziałem jasność wielką... i słyszałem z jasności tej wychodzący głos: idź .. bądź strzałą.. A jaż strzał nie wyciągał?.. A czyż ojciec Paweł nie mówił... Mam prawo...

Księżna w niemym stała osłupieniu. Książę chwilkę dłuższą milczał, wreszcie rzekł:

— Tu nie do mnie, ale do ojca Pawła

ostatnie należy słowo... Po ojca Pawła posłać i sprawę tę rozstrzygnąć należy... Nie nasza w tem głowa...

Zakonnika przyjscie nie kazało długo na siebie czekać.

— Pokój domowi temu, — rzekł wchodząc. — Cóż nowego?

— Na wieki wieków, — odparli oboje księżstwo. — Stała się tu przyczyna, — ciągnął dalej książę. — Chłopcu we śnie światłość się ukazała i słyszeć dał mu się głos...

— Głos? — zapytał zakonnik.

— Idź... bądź strzałą...

— Hm... słyszałeś wyrazy te? — zwrócił się do Jerzego ojciec Paweł.

— Słyszałem, — odpowiedział chłopczyna.

— I więcej nic?

— Nic...

— Hm... to dobrze..., Przyjdź dziś do kościoła, będę miał na twoją intencję nabożeństwo.

— Ale on do Ochrydy nie pojedzie?.. podchwyciła księżna. — Upiera się przytem, powiada, że ma prawo z wyciągania strzał...

— A... Zachowaj to prawo na później,—

uśmiechnął się łagodnie zakonnik. — Niech się strzała lepiej zahartuje...

Ojciec Paweł wyszedł, uprowadzając z sobą chłopca, którego przetrzymał przy sobie aż do południa.

Kiedy Jerzy wrócił do domu, posłowie od kilku godzin znajdowali się już w drodze.

— Pojechali, pojechali bezemnie... zawołał chłopiec z żalem.

Od tego czasu dzieciak zmienił się bardzo. Chodził nasepiony, nie nęciły go zwykłe gonitwy chłopięce, z łuku tylko strzelał nieustannie i na drogę wiodącą do Kros spoglądał.

On też pierwszy poznał wracające od Turków poselstwo, i tak się zakręcił, że przy posłach stanął i wysłuchał wiadomości, które ze sobą przywiezli, a które go widocznie interesowały.

Książę stary zasiadł na swoim zwykłym miejscu i, jak należy, posłuchanie rozpoczął, mowę do Hamzy zwracając.

— I cóż nam przywozicie... pokój czy wojnę?..

— Nie wiem, — odpowiedział zapytany, ramionami wzruszając.

Odpowiedź ta zdziwiła wszystkich.

— Przecie?.. — odezwał się książę.

— Ibrahim pasza ugościł nas po przyjacielsku. Tobie, teściu przysłała upominki i zapowiedź, że się do ciebie w odwiedziny wybiera...

— Hm... Rad mu będę...

— Nie wiem, W odwiedziny te idzie przodem topów (armat) i wojska moc niezliczona.

— Pó co?..

— Nie wiem.

— Hm... znaczyłoby to, że wielki wezyr z wojną na nas idzie...

— Chyba nie, — odrzekł Hamza. — Poczóżby nas w takim razie gościł i tobie podarunki przysłał...

Hamza raz jeszcze musiał powtórzyć opowiadanie swoje od chwili spotkania eskorty, którą Ibrahim pasza na spotkanie posłów wysłał umyślnie.

— Nieumyślnie chyba, — zauważył książę.

— Umyślnie, — powtórzył Hamza i poparli go w tem Span i Topi.

— Skądże wielki wezyr o poselstwie wiedzieć mógł?..

— Wiedział nietylko o poselstwie, ale i że na posłów ciągniono strzały..,

— Skądże?.. jak?..

— Przystaw powiadał, że wielki wezyr od tego jest ażeby wszystko wiedzieć..,

Książę pokiwał głową i do oglądania podarunków się zabrał. Z tych najbardziej mu się podobała strzelba, którą i mały Jerzy oczami pożerał. Na owe czasy była to osobliwość wielka, która w Albanji zaledwie znaną była, we wszystkich też rycerzach zachwyty wzbudziła ogromny,

— Czy Ibrahim pasza wspomniał co, że z wojskiem idzie? — zapytał po chwili książę.

— Ani wspomniał o tem...

— W takim razie my musimy wiedzieć co on zrobić zamysła. Hamza wyjedzie niby na spotkanie gościa i na granicy się zatrzyma. Pięciu jeźdźców rozstawi od Kroś do do granicy. Jak skoro wojska tureckie nadciągną, wyśle do mnie gońca jednego, gdyby przeszli granicę, wyśle drugiego, a sam z drużyną uchodzić będzie górami... Gdyby się nad granicą zatrzymali będzie ich naglądał i nam tutaj gońców co parę godzin przy-

syłał... Zobaczymy, co i jak wypadnie.

Hamzie nie w smak był nowy wyjazd, ale teść naglił i wymówić się nie było sposobu.

— Tak wymiarkuj, abys o świcie nad granicą już stał, — mówił książę i Hamza wiedział, że niebawem wyruszyć musi.

Jakoż słońce się zaledwie ku zachodowi kłonić zaczynało, kiedy Hamza z oddziałem dobranych ludzi z podwórca wyjechał. Spuściwszy się w dolinę, popędził wyciągniętym kłusem, i przed północą nad granicą stanął, gdzie przyjechała go straż, wysłana przodem.

— A co? — zapytał z konia zsiadłszy.

— A nic... — była odpowiedź. — Nad granicą cicho, tylko tam daleko na tureckiej stronie widać coś, niby lunę...

— To znaczy, że się Turczyn niedaleko obozem rozłożył i że po słońca wschodzie będziemy go mieli na karku. Na parę godzin spocząć możemy.

Po daniu tej odpowiedzi Hamza do snu się ułożył i znużony zasnął twardo.

Obudził się dopiero, kiedy słońce z za gór się wychyliło, wstał, oczy przetarł raz i drugi — raz ze snu, drugi raz ze zdziwie-

nia, w jakie go wprowadził widok w kabłąk zwiniętego i głęboko przy ognisku uspiętego chłopca jakiegoś.

— Co to znaczy? — zapytał.

— W nocy się przywłókł, — odpowiedział ze strażników jeden.

— Któż to?

— Książęce pacholę... Czyś nie poznał?

— Oblicza jego nie widzę, a spodziewać się nie mogłem, żeby on się tu pojawił... W pierwszej chwili myślałem, że to zbieg z tamtej strony, ratując się od janczarów...

— Nie... to książęce dziecko... — odrzekł strażnik...

— Nie powiadał, po co przyszedł?

— Przyszedł... poznaliśmy go... przy ognisku usiadł i siedział, aż go sen smorzył..

— Niechże śpi... — odezwał się Hamza. Trzeba będzie rodziców przez gońca o nim zawiadomić.

Nie mógł dłużej na chłopcu uwagi zatrzymać, gdyż spory oddział jazdy tureckiej pokazał się na smugu i kilku jezdnych oderwało się od niego. Białe w ich rękach porzecz mówił, że nie żywią zamiarów nieprzyjacielskich. Hamza naprzeciw nim wy-

szedł. Jeźdźcy z koni pozsiadali i jeden z nich z uprzejmym podchodząc pozdrowieniem zapytał:

— Gdzież to granica?

— Granica... oto... — odrzekł Hamza, wskazując łożysko strumienia.

— Wzdłuż niego wartę postawię, aby żaden turecki askier (żołnierz) granicy nie przekroczył... Wojska nasze tam się, — oczami na smug wskazał, — obozem rozłożą...

Powiedział to i odszedł. Odwróciwszy się, ujrzał przy sobie Jerzego.

— Pocóż ty tu zapytał?

— Przyszedłem patrzeć na tureckie wojsko... — odpowiedział chłopczyna i wnet ręce składając w prośbę uderzył: — Nie odsyłaj mnie... nie odsyłaj... Niech ja z tobą zostanę... Nikomu tu zawadzać nie będę... będę jeno patrzył... patrzył... będę się przypatrywał...

Z powodu przygotowań do przyjęcia zapowiedzianych gości księstwo, służba i goście tak byli zajęci, że zniknięcie chłopca stało się wiadomym dopiero wtedy, kiedy od Hamzy przybiegł goniec z pomyślną wiadomością,

że wojska tureckie granicy przekraczać nie myślą. Do tej wiadomości goniec dodał:

— Twój chłopiec, dostojny panie, na granicy jest...

— Mój chłopiec?.. który?.. zapytał książe zdziwiony.

— Najmłodszy...

— Jerzy?.. hm... Jakże się dostał?..

— W nocy przyszedł.

— Sam?

— Samutki... Przy ognisku usiadł i zasnął...

— Hm... — mruknął książe. — Czemuż go Hamza z tobą nie odesłał?

— Żal mu się go zrobiło: prosił się bowiem i modlił, a dłonie składał, żeby go twój zięć przy sobie zostawił.

— Smarkacz! — mruknął książe i zaczął się rozpytywać posłańca o szczegóły obsadzenia przez Turków granicy. O synu jednak nie zapomniał. Ujrzawszy w podwórzu księżnę, podszedł ku niej i zapytał:

— Czy wiesz, gdzie jest Jerzy?

— Gdzie?... starsi z ludźmi na łowy poszli, to i on chyba pociągnął z nimi...

— Pociągnął, nie z nimi jednak, ale sam... na granicę...

— Nieszczęście moje!.. — wykrzyknęła kobieta,

— Bezpieczny on sam pod okiem Hamzy... ale trzeba w nim tę samowolę poskromić różgą... Gdy raz należycie osmaganym dostanie, wywietrzeją mu rozmaite wybryki z głowy... Przypomnę mu zbytek ten jak skoro kłopoty przeminą... Sam?.. po nocy?.. szczęście, że go wilcy nie rozdarli, albo niedźwiedź nie udusił...

Księżna westchnęła; niebezpieczeństwo, na jakie się chłopiec wystawiał, przejmowało ją mimowolną trwogą, chociaż frasunek jej racji nie miał. Turkom na granicy nic zarzucić nie było można. Rozstawili wartę i wkrótce nadciągnęli, rozwijając siły ogromne. Hufce piesze i hufce jezdne stały przy hufcach, działa w odstępach uszykowane, jakby do boju. Za nimi ustawiały się wozy, a dalej w perspektywie widać było wielbłądy, których kształty odznaczały się wyraźnie na tle widnokągu. Wojska stanęły w szyku bojowym wzdłuż granicy, obsadzonej ze strony albańskiej dwudziestu pięciu ludźmi straży,

nie licząc trzech służebników, Hamzy i Jerzego.

Chłopiec znajdował się w stanie osłupienia. Cała jego istota zmieniła się w zmysł patrzenia; oczy wyteżył i śledził każdy w chodzący na pozycję hufiec.

I cóż,—zaczepił go Hamza,—podobają ci się żołnierze?

— Podoba mi się ład. Ludzi nie widać...

— Jak nie widać?... przecież w hufcach ludzie...

— Tak... o tem się wie, ale tego nie widać... Widzi się coś niby płot, niby mur..

Mur ten rozwaliłby można...—zauważył po chwili milczenia.

— Czem?—zapytał Hamza ubawiony.

— Ludźmi...

— I toż ludzie...—odrzekł, pokazując na szyki tureckie.

— Zapewne... ale...

Chłopiec nie umiał powiedzieć, o co mu chodziło, śnił jednak o zwartych szeregach wojowników chrześcijańskich, walczących za wiarę, jak jeden mąż, niezłomnych i nieugiętych.

Potęga zaimponowała chłopcu niezmiernie.

Rozwinęła się przed oczami jego w blasku całym: zbroje i oręż na słońcu połyskiwały, barwy się mieniły, sztandary od podmuchu wiatru w fałdy się układały. Słyszeć się dały muzyki. Gdy się nagle trąby i kotły, surmy i piszczałki odezwały, chłopiec drgnął i uczuł w sobie ochotę przejścia się po powietrzu.

Muzyki odegrały, szyki się połamały — nastąpiło rozbijanie namiotów.

Działo się to szybko i sprawnie. W przeciągu godziny niespełna, na wzgórzach stało miasto płócienne, rozległe i porządne. W odstępach sterczały drzewca ze zwiniętymi sztandarami i powiewającymi buńczukami. W głębi, dalej, na wzgórzu, wznosił się budynek płócienny, wspaniały, przyozdobiony w gałki złociste, we frendzle i szlaki. Tu zaś i owdzie, stały wysokie rusztowania z pomostami u góry. O południu na pomostach tych pojawiły się ludzkie postacie i jeły głosem śpiewnym wymawiać jakieś wyrazy.

— Do modlitwy muezini powołują, — odezwał się Hamza.

W chwilę potem, przed namiotem każdym, widzieć się dała gromadka ludzi na kolanach.

Wszyscy byli zwrócenii ku wschodowi i wszyscy się jednakowo kiwali. Armia cała modliła się.

Widowisko to sprawiło na chłopcu wrażenie.

— Modlą się...—rzekł w duchu sam do siebie. Modlą się do swego Boga...

I mimowolnie odmawiać zaczął po cichu modlitwę, jakby w tym celu, ażeby ją przeciwstawić tej, jaką odmawiała armja turecka.

W jakiś czas potem do Hanzy podszedł komendant warty pogranicznej. Turek zjawił się, celem rozmówienia się z Hamzą.

— Widzisz?—zapytał, ręką na obóz pokazując. Wojska te będą stały aż do powrotu wielkiego wezyra z Kroi. Ibrahim pasza powróci do Ochrydy i wojska powrócą...

— Kiedyż wielki wezyr przybędzie?...

— Jutro, najdalej pojutrze będzie czynił „rahat“ tam,—rzekł, pokazując palcem namiot wspaniały.

Ta wiadomość przykuwała Hamzę do miejsca. Miał obowiązek powitać, musiał więc czekać na niego.

Jerzy wcale się o to nie gniewał, przyglądał się wszystkim i wszystkiemu, aż wreszcie

zwrócił wzrok na armaty, które stały paszczami ku albańskiej stronie zwrócone.

— Gdyby Albanja kiedy mogła tylko armat paszczami na Turcję zwrócić... gdyby też... O!... Boże!...

W duszy dziecka gorzał płomień, który kiedyś wybuchnąc miał w pożar wielki.

Dzień upłynął spokojnie i noc upłynęła na smacznym spaniu. Hamza i Jerzy zostali zbudzeni przez starego księcia, który przyjechał sprawdzić czujność wart.

— Czuwają,—rzekł książę, przyglądając się zdaleka obozowi tureckiemu.

— Podchwycićby ich sposobu nie było—rzekł Hamza. Przez całą noc strażę chodziły.

— Nie przez całą,—wtrącił Jerzy. Nad ranem wszyscy spali... spali nawet wartownicy na koniach...

Książę na niego surowo spojrział i rzekł:

— Wrócisz ze mną...

Następnie dawał Hamzie instrukcje, dotyczące się sposobu, w jaki sposób ma powitać Ibrahima paszę.

Stary książę pozostał parę godzin i przyglądali się wojsku tureckiemu.

— Wielka siła,—powtarzał półgłosem.

— Wielka... potwierdził Hamza.

— Muzułmańska... wtrącił chłopak.

— Cóż z tego?—zapytał Hamza.

— Niechrześcijańska...—odparł.

Ani ojciec ani szwagier nic na to nie odrzekli,

— No, bądź zdrow i sprawiaj się dobrze!—Kastriota do zięcia,—na koń siadając. Nogę w strzemię włożył i obejrzał się.

— Gdzież Jerzy?—zapytał,

Chłopca nie było.

— Jerzy!—zawołał Hamza.

— Poszedł tam...—rzekł jeden, wskazując na krzaki, poruszające spód wznoszącej się z boku góry.

— Jerzy!—krzyknął Hamza z całej siły. Wołanie pochwytyły echa i kilkakrotnie powtórzyły, ale chłopca nie przywołały.

— No!—machnął książę dłonią. Wkrótce po jego odjeździe chłopiec się pojawił.

— Gdzieżeś się pojawił, żeś wołania mego nie słyszał?—zapytał Hamza.

— Wołanie twoje słyszałem, — odparł chłopczyzna, ale... zostać tu chcę do końca, a ojciec by się o pozostawienie mnie uprosić nie dał...

— Wiedz, iż się na ciebie rozgniewał srodze. Z pierwszym gońcem odeszłę cię do domu. Powiedz na ulagodzenie, żeś wołania mojego nie słyszał.

— Tego nie powiem... nie... i z gońcem nie odjadę!... odrzekł z akcentem niezwyklej u tak młodego dziecka powagi.

— Nie mnie będzie bolało, gdy obiją ciebie.

— Niech...

Więcej już o tem mowy nie było.

Czas upływał na oczekiwaniu spodziewanej o przyjeździe Ibrahima paszy wiadomości. Wreszcie wieczorem, kiedy zabawiali się właśnie opowiadaniem bajek, nagle huknęło działo jedno, za nim drugie, po drugim trzecie, czwarte, piąte, szóste i t. d. Działa strzelały jedne za drugimi, ale tylko kłębamii dymu zionęły, pocisków nie wyrzucając żadnych. Wreszcie strzały umilkły i zabrzmiały muzyki.

— Przyjechał!...—oderwali się strażnicy.

Rzeczywiście o przybyciu wielkiego wezyra poświadczył ruch, jaki przy jego namiocie zapanował. Hamza wnet do teścia wyprawił gońca, sam zaś udał się do komendanta

wart z zapytaniem, kiedy otrzyma posłuchanie.

— Poczekaj, duszko...—odrzekł tenże,—poczekaj, kotku... Wszystko będzie w swoim czasie... Ibrahim pasza, który wie o wszystkim, pamięta o tobie...

Słowa te sprawdziły się niebawem. W pół godziny zjawiła się od wielkiego wezra posyłka z wezwaniem Hamzy przed oblicze jego światłości.

Hamzy to nie zdziwiło; zdziwiło go jednak, że wezyr wyraził żądanie, aby się stawił w towarzystwie synka Kastrioty.

— To on i o tem wie, że chłopiec się tutaj znajduje?

— Najświatlejszy pasza prosi...—powiedział posyłka.

Prośba tego rodzaju od rozkazu się nie różni, Hamza też odmówić nie śmiał i odpowiedział posyłce, że z chłopcem przyjdzie, przeprosza tylko, że chłopiec przedstawi się nieprzystojnie, gdyż niema czasu na posłanie do Kroi po odzież odświętną dziecka.

— Nic nie szkodzi... nic nie szkodzi...—mówił Turek. Zbierzcie się... kałauz (przewodnik) na was czeka...

Hamza z wymówkami do Jerzego zwrócił się.

— Widzisz...—mówił, — ojca nie słuchałeś... słuchać musisz turczyzna... Zachowuj się przynajmniej dorzecznie. Nie lepiej to było w Kroi siedzieć?... upominał.

Chłopiec okazywał zmieszanie i niepokój

Po chwili granicę przekroczyli. Za granicą spotkał ich przewodnik na czele dzieciątka żołnierzy. Żołnierze się uszykowali, pozostającego pod wartą halabardników.

Weszli do wnętrza i odrazu zostali oleśnieni przepychem. Ani poznać nie było można, że to namiot. Ściany osłaniały makaty, podłogę okrywały kobierce; pod ścianami stały dywany wygodne, pośrodku kwiaty w wazonach. Wnętrze składało się z komnat mnogich, idących dwoma rzędami wkoło; pośrodku znajdowało się podwórze. Na podwórze to Jerzy i Hamza wprowadzeni zostali.

Owionęła ich woń rozkoszna; olśniła wystawność. Podwórze urządzone zostało nakształt ogrodu; zapełniały go drzewa cieniste, krzewy rzadkie, kwiaty cudne. Ze znajdującej się na środku sadzawki bił rodotrysk. Z jednej strony wznosiła się skała mchem okryta,

z drugiej otwierała się grota, a w niej szumił wodospad. Po gałęziach nieznanie ptactwo fruwało i szczebiotało. Tu i owdzie, ławeczki darniowe do spoczynku zapraszały.

Na jednej z ławeczek wielki wezyr na gości czekał, miejsce gościom obok siebie wskazał i rzekł uprzejmie:

— Wypoczywam po podróży, czynię rahat...

— Oby ci Bóg zdrowia krzepkiego użyczył... — odpowiedział Hamza, oglądając się dokoła ze zdumieniem, które mu przytomność umysłu odbierało. Nie mniejsze zdumienie opanowało Jerzego. Chłopczyzna nie zadawał sobie pytań żadnych, doznawał jeno wrażenia podobnego temu, jakiego doznaje wilczek z ostępu leśnego do mieszkania ludzkiego wprowadzony. Skąd się to wzięło, to go nie obchodziło; widział cuda i doznawał zdumienia.

Ibrahim pasza dał im czas, aby się z widokiem tych cudów oswoili, dopiero po długiej chwili odezwał się:

— Co jest, czego niema?...

— Teść mój z utęsznieniem oczekuje na ciebie, paszo najdostojniejszy, — odrzekł Hamza.

— Z utęsknieniem, z belkami, — rzekł trochę ironicznie pasza.

— To... nic... tego... jękał się zmieszany Hamza. To zwyczajnie... my wszyscy w górach zasiiekami się zastawiamy...

— Nie biorę też tego za złe, — pasza na to. Kto sam się strzeże, tego Pan Bóg strzeże... Jam dawno wiedział, że przyjaciel mój, Jan Kastriota, jest człowiekiem ostrożnym... Jade w tym celu, aby z nim pobratymstwo uczynić, kołpakami się pomieniamy...

— O, jakie to dla niego będzie szczęście!...

Wielki wezyr za powiedzenie to nie odrzekł nic i zwrócił się do Jerzego:

— Cóż?... podobało ci się tu?...

— Podobało, — odrzekł rezolutnie chłopiec, który przez ten czas zdążył oprzytomnieć.

— Wszak znałeś to miejsce przedtem? Czy widziałeś, żeby tu drzewa rosły, skały się wznosiły, wodotryski były, ptaszki szczebiotały?...

— Nie widziałem.

— Wiesz, jakim się to zrobiło sposobem?

— Nie wiem.

Pasza się w czoło palcem postukał i rzekł:

— Sposoby na wszystko... tu... w głowie. Wiesz już teraz?

— Wiem.

— I chciałbyś się sposobom tym bliżej przyjrzeć?

— O! — odparł chłopiec, — i tym i wszystkim...

— Widać, żeś ciekawy, — usmiechnął się pasza. Jeżeli chcesz ciekawość swoją zaspokoić, poproś ojca, aby mi ciebie na zakładnika dał... Ja pojedę do Kroi, a ty przyjedziesz tu i zamieszkas w namiocie moim tak długo, dopóki nie powrócę... Dam ci tu przystawę, który ci o wszystkim rozpowie i wszystko pokaże... Cóż zgadzasz się?

Jakżeby chłopiec mógł się na tak ponętą propozycję nie zgodzić, nie śmiał jednak bez porozumienia się z ojcem na nic takiego się ważyć, milczał więc i miał palce w zmięszaniu.

Zrozumiał to Ibrahim pasza i mówił dalej:

Ty się zgadzasz... ale czy zgodzi się ojciec?... O tem się dowiedzieć potrzeba... Otóż, — zwrócił się do Hamzy, — jedź do teścia i powiedz mu, że chcę do niego przyjechać, za-

biore z sobą dwóch służebników, dwóch przewodników do wielbłądów i ośmiu tragarzów do mojej lektyki... Dwunastu ludzi, ja trzy-nasty... wszyscy bez oręża... W chwili, kiedy przejdę granicę, niech chłopiec jego przejdzie ją również tak, abyśmy się w przejściu minęli. Za powrotem znów się z chłopcem na granicy rozminę; on powróci do Kroi, a ja do Ochrydy, jeżeli się po przyjaźni dobrze rozejdziemy,—dodał z naciskiem.

— Dobrze, najdostojniejszy pasza...

— A teraz was odpuszczę, jeno wprzód nakarmię i napoję trochę...

W dłonie klasnął i kazał podać sorbety i przekąski.

Słońce już zachodziło, kiedy do straży swojej powrócili. Tutaj bez względu na spóźnioną porę Hamza do drogi sposobić się począł i kiedy ptactwo do snu się układało, on z Jerzym i całym orszakiem w drogę ruszał.

Północ już była, gdy do Kroi dotarli; na podwórze książęce weszli. Kastriota któremu o przybyciu zięcia już znać dano, wyszedł naprzeciw niemu.

Hamza dosłownie, co od wielkiego wezyra słyszał, powtórzył teściowi. Żądanie Jerzego

i z rozporządzenia ojca matka umyła go, wyczesła i suknie mu włożyła najstrojniejsze i przy tej czynności nauki synowi dawała:

— A pamiętaj, — mówiła, — że to, na co patrzeć będziesz, to wszystko źle jest nabyte... Na tych cudach, na tych bogastwach pot chrześcijański i krew chrześcijańska... Pamiętaj o tem... Turkom jednak tego nie pokazuj... nie powiadaj, a przypatruj się wszystkiemu...

— Toć ja właśnie chcę zobaczyć, skąd się u nich siły takie wielkie biorą...

— Iż... to nie twoja rzecz, — rzekła księżna, przyglądając mu ręką włosy.

W tej chwili ojciec zawołał na syna i kiedy Jerzy z objęć matki wyskoczył na podwórze, ujrzał orszak gotowy do drogi.

— Ludzie wystąpili bez broni, ale strojno i uroczyście. W milczeniu dojechali do granicy i zatrzymali się niepewni.

W tej chwili zbliżył się ku nim kamendant wart, za którym ośmiu ludzi niosło lektykę ozdobną. Za tą szła lektyka druga, która zatrzymała się przed samą granicą, podczas kiedy pierwsza doszła do Hamzy i jego orszaku.

— Do tej lektyki niech wsiądzie zakładnik,—rzekł komendant.

— Wsiadaj,—rzekł Hamza krótko.

Chłopiec wsiadł w milczeniu. Kiedy jednak ujrzał się samotnym, zamkniętym w tym aksamitnym pudle, serce jego ścisnęło się niewypowiedzianą trwogą i mimowolnie pochwycił za drzwiczki, aby wyskoczyć. W tej chwili jednak uczuł się podniesionym w powietrze. Tragarze go za linję graniczną unieśli. Kiedy lektyka z nim w jednym kierunku szła, w kierunku wręcz przeciwnym, szła lektyka z wielkim wezyrem. Na linii granicznej rozminęły się. Ibrahim pasza przez okno wyjrzał, głową skinął i wnet później z uśmiechem na ustach słuchał oracji powitalnej, wygłoszonej przez Hamzę.

Orszak stał już gotowy, więc nie mieszając ruszyli wszyscy do Kroi. Książę przed bramę miejską wyszedł, klaniał się, przemawiał i wraz z wielkim wezyrem do domu szedł.

Domostwo książęce przystroić się tak, że się do niepoznania zmieniło. W sieniach pasza deptał po kwiatach, na podłodze usypanych, w komnacie zaś gościnnej zastał przy-

sposobiony dywan, a na nim wygodne, poduszkami obstawione siedzenie.

— Jakże tu u ciebie, beju, dobrze... rzekł pasza.

— Chciałbym siebie podesłać, ażeby dostojności waszej dogodzić... — odrzekł książę.

— Jabyń tego nie chciał, pragnę bowiem, abyś ze mną i z padyszacham naszym w zgodzie i przyjaźni żył... odparł Ibrahim pasza... Ale o tem potem pomówimy... Teraz wypoczynku po podróży zażyje...

Do wypoczynku wszystko się okazało gotowem. Do pokoju weszły niewiasty z wodą i ręcznikami, umyły dostojnemu gościowi nogi i podtrzymały miednicę do umycia oblicza. Potem wniosły posiłek, złożony z rozmaitych dań mięsnych. Pasza jadł z apetytem, dania chwalił i rzekł wreszcie z uśmiechem:

— Takeś mi sąsiedzie dogodził,—rzekł,— że godzinki czasu mi potrzeba, aby zacząć gadanie.

— Spocznijże sobie, baszo,—rzekł książę, wstając, aby wyjść z komnaty.

— Powiedz wszystkim, zebrany u siebie

gościom i waszemu duchownemu strarszynie, aby za godzinę zebrali się pod namiotem...

— Pod jakim namiotem?...

— Pod namiotem...—odparł pasza i oczy zamknął.

Książę wyszedł z komnaty i do rycerstwa zebranego na podwórzu podszedł.

Nagle oczy padły na biały namiot, nad którym się buńczuk z półksiężycem wznosił. Pierwszy buńczuk i półksiężyc na ziemi albańskiej. Serce ścisnęło mu się bólem, nie rzekł jednak nic na to, jeno zaprosił rycerzy za godzinę pod namiot i poszedł dalej zgnębiony. Ustępstwa się zaczynały i to go przerażało, choć nie przeczuwał jeszcze, że ustępstwa te długie wieki trwać miały.

W godzinę później wielki wezyr do namiotu przeszedł i prosić do siebie kazał wszystkich rycerzy z Janem Kastriotą na czele.

Kiedy weszli i miejsca oznaczone zajeli wielki wezyr objął ich zwrokiem i rzekł:

— Przyszedłem sam, bez oręża, ze sztandarem, aby wam padyszacha wolę objawić...

Możecie ją przyjąć albo nie przyjąć, możecie padyszacha sobie ująć, albo go na siebie rozgniewać... To od was zależy; ja wam zo-

stawiam czas do jutra... Namyślcie się... Wola padyszacha jest taką: Albanja wstrzyma się od wszelkich napaści na państwo otomańskie, wzamian za to Wysoka Porta otoczy ją opieką swoją, przed wrogami bronić jej będzie i nie będzie się mieszać do jej spraw wewnętrznych, chyba specjalnie proszona o to. Ponieważ jednak warunki te są dogodne, przeto padyszach wymaga zapewnienia, a mianowicie, aby Jan Kastriota czterech synów swoich jako zakładników padyszachowi oddał...

Książę podiósł na wezyra oczy pełne nie-mego przerażenia.

— Taką jest wola padyszacha, — rzekł wielki wezyr, — i ja nic z niej ująć nie mogę...

Jutro mi dacie odpowiedź...

Posłuchanie było skończone; rycerze powoli wysunęli się z namiotu; za nimi powłókl się książę zgarbiony i postarzały nagle o lat dziesiątek. Z podwórca przesunął się wprost na stronę niewieścia i do żony się zwrócił, opowiadając jej o żądaniu padyszacha.

— Czy niema na to rady? — zapytała, łamiąc ręce.

— Niestety, — mruknął starzec. Myśmy

nie przygotowani, a wojska tureckie z topami na granicy stoją.

Kobieta zapłakała cicho; nie chciała, aby tureczyn ły jej zobaczył.

Hamza pocieszał strapionych, dowodząc, że krzywdy nie będą mieli, ale księżna odpowiadała jedno:

— Poturczą ich... oh... poturczą...

Następnego dnia wielki wezyr miał z Janem Kastriotą długą rozmowę, którą zakończył:

— Nie obawiaj się o synów twoich, krzywdy nie zaznają, a najmłodszy ulubieńcem pana naszego zostanie i do sławy wielkiej i zaszczytów dojdzie... To ci przepowiada Ibrahim pasza, zapamiętaj to sobie. Sokolę twoje odeszłę ci zaraz, naciesz się nim przez dni trzy, a za trzy dni wszystkich czterech do granicy mi odstaw.

Po tem powiedzeniu wielki wezyr do odjazdu się zaczął sposobić i odjechał zanim słońce na południu stanęło.

Po odjeździe jego smutek zapanował na dworze księcia i nie rozproszył go nawet powrót Jerzego, który, rzecz dziwna o pobycie swoim u turków opowiadał niewiele i jakby niechętnie.

Trzy dni minęły jak jedna chwila. Czwartego dnia na podwórku stanął cierpliwie, aż matka skończy pożegnania swoje. A ona jednego po drugim do serca przyciskała, pieściła i całowała, powtarzając przez ły jeden tylko jedyny wyraz:

— Pamiętajcie... o, pamiętajcie!...

Kiedy przyszła kolej na Jerzego, ten objął ją mocnym bez łez uściskiem i rzekł:

— Będę pamiętał... o łzach twoich... matko...

— Czy ja ich kiedy zobaczę!—zawołała księżna z wybuchem rozpacz, kiedy z podwórca zjechali i na drodze się skryli. Echa powtórzyły to zapytanie, ale odpowiedzi nie dały, bo dać jej nie mogły i nie chciały. Rzeczywiście Jan Kastriota nigdy już synów swoich nie oglądał. Historia milczy o nich również, i tylko imię Jerzego zapisała pomiędzy najslawniejszymi bohaterami, walczącymi z półksiężycem za wolność i wiarę.

Mały junak pod pilnym okiem Turków wyrósł na męża, co jeden może wśród swoich pamiętał dziecinne marzenia i stał się strzałą, uderzającą w pierś Turcji.

047601
13. 11. 1930
92179
Nadzwyczaj interesujące książki dla wszystkich, do nabycia

w „Księgarni Popularnej“
w Warszawie, Ś-to Krzyska 42,
oraz we wszystkich księgarniach.

Szosta i siódma —
— **Księga Mojżesza,**

czyli magiczno-sympatyczny skarbiec, to jest Mojżesza magiczne sztuki czarodziejskie, tajemnice wszelkich tajemnic. Tablice szczęścia. Przepowiednie. Dosłownie według starego rękopisu, z zadziwiającymi obrazkami, z 7-a pieczęciami. Cena Rb. 5.—

Książka ROMANUSA
Cena 80 kop. **MAGNUSA.**

ANIELSKA POMOC,
na obronę i ochronę w wielkiej biedzie. Cena 50 kop.

TAJEMNICZA SZKOŁA
magicznego cudotwórstwa.
Cena 50 kop.

Najnowsze Tajemnice
i Zagadnienia

Czarnej magii, Hypnotyzmu,
Spirytyzmu i Magnetyzmu.
oraz zasady praktycznego ich zastosowania, ułożone według najnowszych i najlepszych źródeł, przez K. R. z licznymi rysunkami w tekście. Cena Rb. 2.—

OGNISTY SMOK.

Z drzeworytami
Cena Rb. 2.—

SIEDEM RAZY
OPIECZĘTOWANA

Księga największych tajemnic
Cena Rb. 2.—

KOLEKCJA FLOVERA

4 tomy w opr. ozdobnej.
Cena Rb. 10.—

ALBERTUS MAGNUS.

Wypróbowane i uznane sympatyczne i naturalne, Egipskie tajemnice z 7-a pieczęciami. Cena Rb. 3.

M. Rościszewski.

Elektryczność
i Magnetyzm.

Cena 30 kop.

M. Rościszewski.

Sztuka robienia
wynalazków.

Cena 40 kop.